

Przemysław Semczuk

Granica prawdy

Przez wiele lat komunistyczne władze powtarzały, że Kwidzyn zniszczyła wojna. Ludzie słuchali i milczeli. Pamiętali, jak było naprawdę.

19 kwietnia 1945 roku w drogerii przy Hitlerstrasse (obecnie Batalionów Chłopskich) w Kwidzynie wybuchł wielki pożar. W mieście była zaledwie garstka polskich mieszkańców, którzy od kilku tygodni przybywali pieszo z różnych stron. Wśród nich był Jan Ewertowski, strażak. Gdy tylko się osiedlił, zwołał kilku mężczyzn, zorganizował straż pożarną. Było ich sześciu. Tego dnia pierwszy raz mogli być potrzebni. Patrzyli bezradnie, jak żywił trawi jeden z budynków. Nie mieli czym gasić. Nie działały wodociągi.

– Polacy zaczęli przybywać do Kwidzyna w marcu – opowiada Henryk Michalik z Towarzystwa Miłośników Ziemi Kwidzyńskiej.
– Niestety, nie byli sami. Połowę miasta zajmowała Armia Czerwona.

Oddziały sowieckiej piechoty wkroczyły do opustoszałego Marienwerder (taką nazwę nosił wcześniej Kwidzyn) 29 stycznia około godziny 17. Niemcy uciekli kilka dni wcześniej. Zabrali ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Reszta została, tak jakby wszyscy wyjechali na wycieczkę i za kilka dni mieli wrócić. Z 28 tysięcy mieszkańców zostało 320 osób. Starcy, chorzy, kilka matek z małymi dziećmi. Nikt nie stawiał oporu. Nikt nie strzelał.

Następnego dnia Marienwerder pełne było już czerwonoarmistów. Żołnierze rozglądali się ze zdziwieniem. Wszystko wyglądało inaczej niż na wschodzie. Schludne domy, czyste ulice. Wszędzie nadal wisiały faszystowskie flagi i godła. A na tabliczkach nazwy: Hitlerstrasse, Goeringstrasse. Myśleli, że są w Niemczech. Skąd prosty żołnierz mógł wiedzieć, że granice Polski przesuwają się na zachód. Do konferencji jałtańskiej, potwierdzającej nowy kształt Europy, zostało ledwie kilka dni.

Front parł naprzód, więc jednostki szturmowe szybko ruszyły dalej, pozostawiając miasto nietknięte. Dla dowództwa brak zniszczeń był jednak doskonałą okazją do zorganizowania zaplecza dla chorych i rannych.